

MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
WITA W NOWYM ROKU!



MARGINES W INTERNECIE:

[f FACEBOOK.COM/ZSLKRAKOW](https://www.facebook.com/ZSLKRAKOW)

WWW.TNIJ.COM/MARGINES

WSTĘPNIAK

kastel

Jest mi niezmiernie miło przywitać naszych Czytelników w Nowym Roku. 2013 to mój ostatni (miejmy nadzieję) rok w tej szkole. Dla niektórych to dopiero półmetek pierwszego i właśnie ci muszą się najbardziej uzbroić w cierpliwość i wiarę oraz nieskończoną ilość samozaparcia i dążenia do realizacji celów oraz spełniania marzeń – bo to jest najważniejsze w życiu (a przynajmniej przez najbliższe 4 lata). Śmiem twierdzić, że nawet matematyka nie jest tak ważna (gorzej – jak matematyka jest potrzebna przy realizacji naszych planów). Ale nie o tym tu, tylko o naszej gazecie.

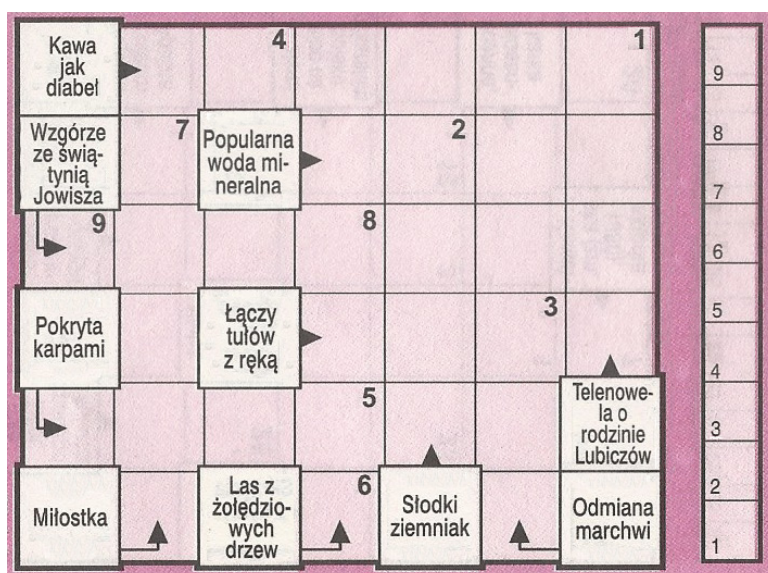
„MARGINES” działa i przetrwał to nieudolne zakończenie świata wg Majów w grudniu. Najbliższe poważne zagrożenie to 2036 i zdecydowanie zbyt bliski przelot przy ziemi planetoidy Apophis – więc luzik. W otwierającym nowy rok, styczniowym wydaniu przeczytacie, jakie zagrożenia może przynieść posiadanie Facebooka, ZSŁnews o najważniejszych wydarzeniach w szkole, a także tekst tego samego autora – Wojtka – o typach nauczycieli. Stwierdzone, że w naszej szkole występują wszystkie wymienione typy, uwierzcie starszemu koledze, hehe. Dodatkowo w literackiej części kolejne przygody Andrzeja – tym razem sylwestrowe (zbieżność nazwisk, osób oraz sytuacji jest całkowicie przypadkowe, a nawet fikcyjne) oraz mroczny Storyteller. Jeżeli jednak wolicie felietony, to mamy ich jak zwykle mnóstwo, a jak nie felietony, to są jeszcze moje recenzje serialowe, muzyczne i filmowe. No i gier komputerowych. Ale to już dziedzina Hubcia. Jak już jesteśmy przy temacie gier, to zagrajmy w MPK Game. Hubcio opisał zasady na stronie 11. Pulitzer w tym miesiącu należy do Niego.

Zapraszamy do lektury!

„MARGINES” należy podać dalej komuś innemu albo zostawić w bibliotece. Pozdrawiamy

Co w numerze?

ZSŁnews	s. 3
Facebook czy Facebóg	s. 3
Przyganiał Kościół garnkowi...	s. 4
Stolica, stołyca...	s. 4
No i gdzie ten koniec świata	s. 5
Zawód: Nauczyciel	s. 6
Andrzej po sylwestrze	s. 7
Miłość występuje tylko w liczbie pojedynczej	s. 7
Jak ja widzę ludzi	s. 8
Rozmyślanie nad życiem	s. 9
Z kronik dysku	s. 9
Serialowy przegląd	s. 10
Gramy!	s. 10
Recka muzyczna	s. 11
MPK game	s. 11
Recka filmowa	s. 12



Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Anna Oleś
Łukasz Ozóg
Damian Hanusiak
Paweł Górszczak
Renata Makuch
Wiktoria Kaim
Anna Karez
Tomek Nowinski
Maciek Pietrzyk
Artur Kawala
"storyteller"
Mateusz Bogusz
Bartosz Jędrecki



Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz
e-mail: margins@tl.krakow.pl
www: http://tnij.org/margins_zsl

MARGINES
Gazeta Szkolna

ZSŁnews

Wojciech Gajda

WITAMY W 2013 ROKU! NA SZCZĘŚCIE PÓKI CO, TYLKO NA KILKA DNI.

Święta, święta i po świętach... Ale nie ma co narzekać – powróciliśmy do szkoły na zaledwie kilka dni, w dodatku jedynie w celach czysto formalnych.

Nowy system oceniania, obowiązujący od tego roku, jest o tyle korzystny, że wystawianie ocen proponowanych i ewentualne dopytywanie na wyższą ocenę przeszło już do lamusa. Ścisłe określone zasady pozwalają uczniowi na obliczanie swojej dokładnej średniej z danego przedmiotu na bieżąco, a co za tym idzie – otrzymuje on informację na temat tego, na jaką ocenę końcową zasługuje. Nie ma już niestety miejsca na indywidualne podejście nauczyciela do ucznia, więc okresy przed końcem semestru czy roku szkolnego nie będą już tak burzliwe i pracowite, jak to bywało dotychczas. Oczywiście, zgodnie z tradycją, wszyscy w najbliższych tygodniach zobowiązujemy się wobec nauczycieli, rodziców i samych siebie do poprawienia wyników w drugim semestrze, co uda się jedynie najwytrwalszym.

Grudniowa aura pogodowa sprzyjała propagowaniu wśród uczniów i nauczycieli zdrowego trybu życia, bowiem na boisku szkolnym, jak co roku – gdy tylko pogoda na to pozwala – wydzielono miejsce, w którym każdy może popisać się piruetami lub po prostu szybką jazdą na łyżwach. Co ważne, szkoła była przygotowana na takową organizację wolnego czasu również w przerwie świątecznej. Trzymajmy kciuki, aby fanatycy sportów zimowych podczas nadchodzącym ferii również nie narzekali na warunki pogodowe.

Przed świętami pożegnaliśmy się ze szkołą, organizując klasowe wigilie. I w tym roku nie zawiódł nas Dyrektor Piskowski, który wędrując po szkole, grając na harmonijce, odśpiewywał wraz z uczniami kolędy. Podczas łamania się opłatkiem i składania sobie życzeń, najwięcej emocji towarzyszyło tegorocznym maturzystom, którzy w progach Zespołu Szkół łączności spędzili już ostatnią Gwiazdkę.

Wytrwałości we wszystkich postanowieniach noworocznych oraz bezpiecznego wypoczynku podczas ferii zimowych życzymy szczerze na koniec styczniowego wydania ZSŁnews. Wracamy w lutym – miejmy nadzieję, że wszyscy w jednym kawałku!



http://t.krakow.pl

Facebook czy Facebóg?

Renata Makuch

WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ NIEWINNIE. ZAKŁADASZ PROFIL, DEFINIUJESZ SIEBIE, WRZUCASZ PARĘ ZDJĘĆ. NA POCZĄTKU TO TYLKO ZABAWA, TERAZ JUŻ CAŁE ŻYCIE. O CO CHODZI? MASZ RACJĘ - TO FACEBOOK.

Kiedyś było Gadu-Gadu, Nasza Klasa, teraz jest Facebook. Cofnijmy się w czasie, co namówiło nas na założenie potocznie zwanego „fejsa”? Fakt, że Nasza-Klasa stała się już niemodna. Teraz każdy ma konto na Facebooku, a jak go nie ma, to po prostu nie istnieje. Pierwsze wrażenie: „O, jaka fajna strona! Tyle tu możliwości!” Po zalogowaniu się, NK poszła w odstawkę. Na fejsie znalazło się wszystko: zdjęcia, filmy, linki do ulubionych piosenek, statusy związku i nie tylko. Coraz więcej informacji o nas znalazło się w sieci, nic dziwnego, bo można dodawać wszystko. Co prawda istnieją ograniczenia prawne, ale granic dobrego smaku często brakuje.

Ciekawość dotycząca nowych informacji doprowadziła nas do uzależnienia. Sprawdzanie fejsa stało się codziennym rytuałem. Co robimy zaraz po włączeniu komputera? Odpalamy przeglądarkę i Facebook - parę osób może się ze mną nie zgodzić, ale kto tak teraz nie robi? Codziennie tracimy parę godzin naszego jakże cennego życia na bezsensownym siedzeniu na fejsie.

Telefony kosztują, a listów się już nie pisze, przez co Facebook ułatwia nam życie, możemy bezproblemowo komunikować się ze znajomymi z drugiego końca Polski, lecz dzięki temu „ułatwieniu”, codzienne rozmowy zastępuje czat. Bez względu na to, że mieszkamy blisko siebie i tak czatujemy, zamiast się spotkać i porozmawiać. Natomiast w trudnych chwilach widać jak na dłoni, że sieć pozbawia umiejętności rozmowy. Na przyjemne tematy rozmawiać można godzinami czy w sieci, czy w „realu”. Na te trudniejsze już niekoniecznie. Co Facebook robi z obecnym społeczeństwem? Teraz miłość objawia się komentarzami, serduszkami. Mało kto teraz rozumie znaczenie miłości i potrafi szczerze, prosto w oczy powiedzieć: „kocham cię”. Portale społecznościowe niosą ze sobą również wiele zagrożeń, ktoś udostępni jakieś zdjęcie, ono zostaje bardzo szybko podrasowane. To wszystko dla żartów, lecz nie każdy tak to odbiera. Każda informacja roznosi się z prędkością światła. Osoba pokrzywdzona staje się pośmiewiskiem nie tylko w sieci. Wszystko wchodzi do świata rzeczywistego. Nie każdy ma na tyle silną psychikę, żeby sobie z tym poradzić. Każda sytuacja kończy się inaczej, od zmiany szkoły do - w najgorszym przypadku - samobójstwa. Będąc na Facebooku, musimy pamiętać, że bardzo łatwo coś wrzucić do Internetu, lecz o wiele gorzej jest całkowicie to usunąć.

Musimy pamiętać, że wszystko jest dla ludzi, lecz to, co znalazłam w internecie na temat Facebooka, mnie załamało. Z najnowszych badań wynika, że uzależnia on silniej od papierosów i alkoholu. Fenomen zjawiska mierzy się już w globalnej skali, a specjaliści kategoryzują go jako osobny wynalazek o nazwie FAD – Facebook Addiction Disorder, czyli zaburzenie spowodowane uzależnieniem od Facebooka.

Dlaczego Facebóg? Internet to kolejny bożek naszych czasów. Zajmuje zaszczytne miejsce obok telewizji oraz gier komputerowych. Oczywiście dobrze wykorzystana sieć może przysłużyć się szerzeniu dobra. Jednak za kluczowe uważam znalezienie odpowiednich proporcji życia w sieci i życia w świecie. Aby narzędzie, które można wykorzystać w dobrym celu nie stało się gwoździem do trumny naszego ducha.

Przyganiał kocioł garnkowi...

Wojciech Gajda

CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIĄKNIE, TYM NA STAROŚĆ TRĄCI.

Zyjemy w takich czasach i w takim społeczeństwie, które zmuszają nas do uzbrajania się w ogromne pokłady cierpliwości. Między kolejnymi pokoleniami tworzą się olbrzymie przepaści w relacjach. Ciężko wspólnie odnaleźć kompromisy czy w ogóle porozumieć się i przyswoić inny tok myślenia. Kwestią sporną pomiędzy ludźmi w różnym wieku staje się często kultura osobista. W opinii starszych, młodzież w dzisiejszych czasach za grosz jej nie posiada. Aż strach pomyśleć, że to w ich rękach leży przyszłość naszego narodu. A jak z tą kulturą jest tak naprawdę?

Stoję z kolegą na chodniku i rozmawiamy. Nagle młoda matka z dzieckiem taranuje wózkem najpierw mojego towarzysza, później mnie. Zirytowany sytuacją, jak zawsze z niewyparzoną językiem, ale spokojnym tonem, zwróciłem uwagę, że „mówi się przepraszam”. Ku mojemu zaskoczeniu w odpowiedzi usłyszałem jedynie, że jestem bezczelnym, niewychowanym szczeniakiem, niemającym zielonego pojęcia o życiu. Dalsze dywagacje sobie odpuściłem – ta pani widocznie ma bardzo ciężkie macierzyństwo. Choć nie powiem, korciło mnie do kontynuowania tej dyskusji, gdyż nie lubię, jak ktoś zachowuje się tak, jakby pozjadał wszystkie rozumy. Przypomniało mi się jednak stare, dobre powiedzenie – „Mów do słupa, a słup jak...” (dokończcie sobie sami) i postanowiłem ugryźć się tym razem w język. Paradoksem jednak jest to, że ta pani zaatakowała mnie, zwracając uwagę na rzekomy brak dobrych manier w mojej osobie. Chyba nie zauważyła, że cała sytuacja zaczęła się od tego, że to ja oburzyłem się brakiem kultury u niej. No ale cóż, rozhisteryzowana kobieta nie chciała widzieć niczego, poza czubkiem własnego nosa. Zaledwie około dziesięciu lat różnicy wieku, a już taki problem z porozumieniem...

Podobne tego typu sytuacje spotykają wielu z nas także na co dzień, w komunikacji miejskiej. Tzw. mohery, czyli grupa ludzi trzymających władzę w środkach komunikacji, uważają młodzież za wszelkie zło wszechświata. Taka opinia jest efektem tego, że owa część społeczeństwa woli się domagać kultury, niż samemu się nią posługiwać. Czy nie prostsze od chrząkania nad siedzącą osobą, rzekomo przypadkowego szturchania siatami z zakupami czy obelg, byłoby poproszenie o ustąpienie miejsca? Po co komplikować sobie życie i budować mylny światopogląd dotyczący jakiejś grupy społeczeństwa? Wszyscy wymagają kultury, podczas gdy sami nią nie grzeszą.

Wydaje mi się, że przyczyną tych problemów jest skłonność naszych rodaków do szukania dziury w całym, do szukania problemów tam, gdzie ich nie ma. Ludzie najzwyczajniej w świecie nie rozumieją pojęcia kultury. A pomyśleć, że wystarczyłby wzajemny szacunek, zamiast nieuzasadnionych frustracji... Niestety mentalność nasza wybiera unoszenie się dumą, zadufanie i wyganie od wszystkich, zamiast pokornego zachowania i zdrowszych relacji. Skąd w młodzieży taka ignorancja w zachowaniu? Z obserwacji i przekory. Zamiast wzajemnie oczerniać się brakiem kultury, może po prostu wszyscy zacznijmy się stosować do jej zasad?

Stolica, stolyca...

Sene

OSTATNIO RZUCAMI SIĘ CORAZ CZĘŚCIEJ W OCZY TO, JAK BARDZO MENTALNOŚĆ LUDZI MIESZKAJĄCYCH W „STOLICY” ODSTAJE OD MIESZKAŃCÓW RESZTY POLSKI I DLACZEGO TAK JEST.

Często spotykam się z poglądem, że warszawiacy to buraki. Ba, sama ten pogląd podzielam. Ostatnimi czasy jednakże zaczynam rozważać, z jakiego powodu tak się dzieje. Bo widzicie, sam fakt, że pochodzicie z Warszawy, o dziwo nie czyni Was z miejsca burakami, o nie. Bardziej mieszkanie w niej. W mieście, w którym wszyscy się śpieszą, trzeba się wybić, trzeba się pokazać – a to, z jakiej strony, jest już sprawą drugorzędną. Nie ma czasu na to, żeby być życzliwym, żeby komuś pomóc, bo traci się wtedy cenny czas, którego jest tak mało, czas potrzebny, żeby załatwić wszystkie ważne sprawy, żeby być kimś i wyjść na swoje. Na pierwszy rzut oka takie miasto wygląda na idealne miejsce dla kogoś chcącego zgubić się w tłumie i zająć się własnymi sprawami, ale problem leży w tym, że tłum nie poprzestanie na tym, że się w nim zgubisz, on Cię pochłonie i znikniesz całkiem, a Twoje sprawy przepadną. Musisz być zdecydowany i to natychmiast, bo inaczej inni podejmą decyzję za Ciebie, nieważne, w jakiej sprawie. Musisz pokazać, że potrafisz postawić na swoim. Zresztą, wszyscy wokół tak robią, więc przyzwyczajasz się do tego i nie zauważasz nawet, że zmieniłeś się... w takiego warszawskiego buraczka. Cukrowego. Oczywiście w żadnym stopniu nie jest to usprawiedliwienie dla zachowania większości populacji naszej wspaniałej stolicy, godnego czasami wręcz pożałowania – niestety, ale smutną prawdą jest to, że bardzo łatwo można zauważyć, że ktoś mieszka w Warszawie. To miasto zmienia ludzi, co więcej, w większości na gorsze. Pewnie człowiek jest bardziej zorganizowany, chodzi jak w zegarku, ma dokładnie zaplanowany dzień co do minuty i generalnie zaczyna się zachowywać jak robot, jednak równocześnie powoli posuwa się coraz dalej, żeby tylko nie zakłócić swojego planu, więc jest opryskliwy, nie ma czasu na pogawędkę, nie przejdzie mu przez myśl przystanąć i na krótką chwilę się zamyslić, spojrzeć w niebo, uśmiechnąć się. I w efekcie mamy miasto pełne smutnych, zabieganych ludzi, goniących za fałszywym szczęściem, gdzie w rzeczywistości pozbawiają się w ten sposób prawdziwej radości cieszenia się z najdrobniejszych rzeczy.

A na koniec anegdota, która to sprawiła (z pomocą gorączki i leków), że w końcu udało mi się przemóc i napisać cokolwiek. Moja znajoma jakiś czas temu pojechała do Warszawy i opowiedziała mi, co jej się tamże przytrafiło. Przyjechała wczesnym popołudniem do miasta, a jako że miała jeszcze sporo czasu do spotkania, postanowiła na miejsce pojechać metrem. Niestety, rzeczona znajoma szczęścia do drobnych rzeczy nie ma i udało jej się zaklinować walizkę w bramce. Stała tak przez piętnaście minut, bo wszyscy wokół zbyt szybko się spieszyli, żeby przystanąć na kilkanaście sekund i jej pomóc – w końcu nic by z tego nie mieli, a przecież trzeba pilnować swoich spraw i walczyć o swoje. Po tych nieszczęsnych piętnastu minutach w końcu zlitował się nad nią jakiś starszy pan i pomógł jej. Widocznie jemu nie spieszyło się do celu tak bardzo jak innym.

No i gdzie ten Koniec Świata?

sowilo

„(...) A KTÓRZY CZEKALI BŁYSKAWIC I GROMÓW, SĄ ZAWIEDZENI. A KTÓRZY CZEKALI ZNAKÓW I ARCHANIELSKICH TRĄB, NIE WIERZĄ, ŻE STAJE SIĘ JUŻ. (...)”

A miało być tak „pięknie”... Wielki huk, chaos, Słońce, które nie świeci, zaraza, wszystkie plagi egipskie, ludzie poukrywani w schronach, opancerzonych piwnicach. A co mamy? Ostatni tydzień grudnia. Jedyne, czym się wyróżnia na tle innych dni grudniowych to to, że stopniał śnieg i zielono-błotniste Święta Bożego Narodzenia wyglądają dość „łyso” i bez atmosfery. Już nawet szykowałam sobie w głowie artykuł: „Jak wygląda życie w Nowej Erze po końcu Świata?” (no przecież wiadomo, że kataklizm ZSŁ by nie dotknął ;)), a tu muszę teraz zmieniać całą koncepcję.

Wszyscy panikowali, że z dniem 21 grudnia 2012 nadejdzie KONIEC i totalna zagłada ludzkości. Polacy organizowali Euro 2012, Nostradamus przepowiadał nadejście Apokalipsy, skończył się kalendarz Majów, Gangnam Style zaliczył okrągłą rekordowa liczbę wyświetleń, nawet powstał film katastroficznym o wdzięcznym tytule „2012” z falami tsunami, huraganami i trzęsieniami ziemi w rolach głównych. I co? I nic. Jak było, tak jest. W piątek tylko były olbrzymie korki na drogach i dużo wojska kręciło się po mieście na wypadek ewentualnej klęski lub zwykłych idiotów, którzy chcieliby do tej klęski doprowadzić.

Zapytać można: dlaczego nic się nie wydarzyło pomimo przepowiedni i znaków? Moim zdaniem odpowiedź jest prosta. Po pierwsze: teraz naukowcy się tłumaczą, że źle policzyli i kalendarz Majów kończy się tak naprawdę za, bagatela, 104 lata (gdzieś mi się przewinął przed oczyma taki artykuł). Gdyby tak „zgubić” na sprawdzanie z matematyki te 104 lata... No, ja wolę nie wiedzieć, co by było. Po drugie: zagładę na Ziemię sprowadzimy sobie sami w bliżej nieokreślonej przyszłości. Albo jakaś bomba biologiczna, albo olbrzymi reaktor jądrowy, albo jeszcze coś innego brzmiącego równie ynteligentnie. Ktoś będzie chciał komuś pokazać, jaki jest wielki i silny i... BUM! Wszyscy wylecimy w powietrze, czy nam się to podoba, czy nie. Albo przez efekt cieplarniany: my niszczymy naszą warstwę ochronną, Słońko świeci, lodowce się stopią i zaleją glob, klimaty się przetasują, bieguny zamienią miejscami i kolejna klęska gotowa. No dobra... Dinozaury nic nie zawiniły i wyginęły, ale one po prostu miały pecha.

Kolejna sprawa to to, że nic nie nadejdzie tak nagle i bez zapowiedzi, bo tak. Zmiany mogą być powolne i niezauważalne dla prostego zjadacza chleba. Nie będzie krwistoczerwonego nieba, fajerwerków, czterech Jeźdźców Apokalipsy. To wszystko są tylko klucze, wskazówki i „zgadnijcie, co autor miał na myśli”.

A my musimy czekać. Może nadejdzie za naszych czasów, może za czasów naszych wnuków, praprawnuków albo w ogóle nic nie nadejdzie. Innego Końca Świata* nie będzie... No, oprócz tego na południe od Kalisza. ;)

*Koniec Świata – przysiółek wsi Głuszyna w województwie wielkopolskim, w powiecie ostrzeszowskim, w gminie Kraszewice.

Czesław Miłosz

Koniec świata

W dzień końca świata

Pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji,

Rybak naprawia błyszczącą sieć.

Skaczą w morzu wesołe delfiny,

Młode wróble czepiają się rynny

I wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.

W dzień końca świata

Kobiety idą polem pod parasolkami,

Pijak zasypia na brzegu trawnika,

Nawołują na ulicy sprzedawcy warzywa

I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa,

Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa

I noc gwiazdzistą odmyka.

A którzy czekali błyskawic i gromów,

Są zawiedzeni.

A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,

Nie wierzą, że staje się już.

Dopóki słońce i księżyc są w górze,

Dopóki trzmiel nawiedza różę,

Dopóki dzieci różowe się rodzą,

Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,

Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,

Powiada przewiązując pomidory:

Innego końca świata nie będzie,

Innego końca świata nie będzie.



Zawód: nauczyciel

Wojciech Gajda

TYPY NAUCZYCIELI. JAKI JEST NAJGORSZY?

Przy okazji październikowego Dnia Edukacji Narodowej poruszyłem kwestię tego, że zazwyczaj uczniowie dzielą nauczycieli na tych z powołania i na tych, którym w życiu nie wyszło.

Zbliżający się powoli do mnie koniec edukacji szkolnej to, moim zdaniem, dobry czas na podsumowanie i wyciągnięcie wniosków dotyczących rzeszy nauczycieli, którzy kształcili mnie przez minione 13 lat. A wszystko to oparte na tysiącach godzin obserwacji, doświadczeniach oraz przeżyciach, których w związku z buntowniczym charakterem i otwartością, w relacjach między mną, a belframi nie brakowało. Chwilami być może nieco subiektywnie, ale pamiętajmy – jak w każdej plotce jest ziarno prawdy, tak i w krytyce.

Wspomniany podział na dwie grupy nauczycieli podtrzymuję i w pełni się z nim zgadzam. Po głębszej jednak analizie dostrzec można, że typów nauczycieli jest zdecydowanie więcej i ich cechy są charakterystyczne dla wielu osób pracujących w tym zawodzie. Parafrazując polskie powiedzenie, można by rzec – szanuj profesora swego, możesz mieć gorszego. Jednakże żyjemy w czasach, w których wymagania i oczekiwania każdego dnia znajdują się na coraz wyżej zawieszanej poprzeczce. Człowiek dorastając, zaczyna być bardziej wrażliwy. Z każdym kolejnym rokiem lepiej poznaje samego siebie, swoje pasje i zainteresowania. Zaczyna kreować swój światopogląd. Na drodze nieustającej, aż do końca życia, walki o realizację swoich planów i obronę własnego zdania, staje grono pedagogiczne wywołujące najczęściej irytację. Wymagania, jakie wobec nas stawiają oraz bariery, jakie budują pomiędzy sobą, a nami, sprawiają, że w dużej mierze są oni nie lubiani. Co przykre – ze wzajemnością. Często bowiem widać, a nawet niektórzy się z tym nie kryją, że wiele osób pełniących tę funkcję zdecydowało się na taką pracę z braku alternatywy. To wywołuje zaś ignorancję i niepozytywne podejście do młodzieży, co zaburza misję, w któ-

rej system szkolnictwa ma nie tylko ucznia kształcić, ale także wychowywać.

I tak są ci, którzy naprawdę chcą uczniów czegoś nauczyć (tak zwani pasjonaci); ci, którzy próbują ich czegoś nauczyć, a także ci, którym satysfakcję przynosi udowadnianie swoim podopiecznym, że nic nie



Dobry nauczyciel

to taki, który bierze pod uwagę to, że kiedyś też był uczniem

umieją, nie mają pojęcia o życiu i wszystko, co ich dotychczas spotkało, to jedynie spektakularne pasmo porażek. Tak na dobrą sprawę, nie wiadomo nawet, który z tego typu nauczycieli jest gorszy...

Pasjonat traktuje swoją pracę nadambitnie, występuje tutaj przerost formy nad treścią. Bardzo wysokie wymagania wobec uczniów, którzy wręcz nie są w stanie im sprostać. Brak granicy i umiaru, które wskazywałyby takiemu nauczycielowi rozsądne dawkowanie wiedzy i proporcjonalne co do tego oczekiwania. Taka osoba zupełnie zapomina o tym, że uczniowie mają jeszcze co najmniej kilkanaście innych równie interesujących przedmiotów i niekoniecznie każdy musi być tak zafascynowany daną tematyką.

Wbrew pozorom złotym środkiem nie jest nauczyciel, która swoją aktywność zawodową ogranicza do fikcyjnego przekazywania wiedzy i na wszystko ma przymrużone oko. Choć może i żyje w zgodzie ze społecznością uczniowską, to jednak takie metody w przyszłości odnajdują swoje wady, w postaci braku wiedzy, co wiąże się z przymusem jej nadrobienia. A zaległości z kilku lat mogą nie przyswajać się tak łatwo...

Trzeci opisany typ belfra to tzw. typ nadgorliwy, mówiąc delikatnie, niechętnie nastawiony do młodzieży. Za wszelką cenę pragnie okazywać swoją wyższość, a swoim zachowaniem leczy swoje ego i niespełnione ambicje. To chyba najgorszy typ nauczyciela... Zetknięcie z takim osobnikiem uczy życia tak dobrze i boleśnie, jak żadna inna rzecz.

I choć każdy wie, że nie ma dwojga takich samych ludzi, to jednak obserwując dziesiątki już nauczycieli, można zauważyć pewne prawidłowości. Po kilku latach pracy w tym zawodzie każdy zaczyna powielać pewne schematy i zaczyna pasować do jednej z opisanych w tym tekście grup. Miło jest czasem być zaskakiwanym wyjątkami, ale niestety stwierdzić śmiało należy, że to właśnie nauczyciel jest najbardziej narażony na wypalenie zawodowe.

Niniejszy tekst nie odwołuje się bezpośrednio do żadnej osoby związanej z Zespołem Szkół Łączności. Wszelkie poruszone kwestie dotyczą ogółu osób pracujących w zawodzie nauczyciela, a nie poszczególnych belfrów.



Nauczyciel

Jaki u niego humor, takie u ciebie oceny

Andrzej po Sylwestrze

Hubcio

NOWY ROK. NOWE DOZNANIA. NOWE SMAKI.

Pisk. Dudnienie w uszach. Andrzej otwiera oczy, ale od razu je zamyka. Nie może znieść widoku sufitu. Strasznie głośno nad nim wisi. Bohater chce już wstać, ale funkcje myślowe jeszcze mu na to nie pozwalają. Przypomnił sobie pewną metodę na szybkie obudzenie się. Trzeba wykonywać działania matematyczne, wtedy szybciej zaczyna się myśleć. Ale cyfry za głośno się dodawały. „Jeszcze dwie minuty i wstanę”. Pół godziny później Andrzej wstał. Pomlaskał trochę ustami i poczuł mocno metaliczny posmak. Wzruszył ramionami i udał się w stronę kuchni, bo dość pusto na żołądku się zrobiło. Gdy wyszedł z pokoju, na metalowej poręczy przy schodach dostrzegł delikatne wgniecenia, tak jakby ktoś chciał odgryźć kawałek. Aha, no tak... Wszystko jasne. Wędrówka po schodach graniczyła z cudem. Była to jedna wielka walka z grawitacją, z której na szczęście wszyscy wyszli cało. W kuchni był delikatny bałagan. To znaczy, tak myślał Andrzej, bo to co zobaczył, nie przypominało w ogóle miejsca, gdzie mógłby przebywać człowiek. Może prędzej niedźwiedź albo buldożer budowlany. W każdym bądź razie lodówki nie było, więc żarcia zapewne też. Nagle wielki ból w głowie, trzask, pisk. Tak, coś sobie przypominał. Zanim poszedł spać, zamówił pizzę. Był wtedy u niego jeszcze Romek, więc może mieć coś wspólnego z jedzeniem. „A, zadzwonię do niego...”. Telefon z pękniętym ekranem i z napisem na obudowie: „Fajny mam ekran, no nie?” jakimś cudem wykonał połączenie i w pokoju obok rozległ się dźwięk dzwonka. Strasznie głośny. Ktoś odebrał. „Halo?” Andrzej poszedł do salonu, stanął nad Romkiem i mu pomachał.

-Ciiiiii Andrzej, staram się przez telefon pogadać!

-To ja dzwonię, debilu!

Popatrzyli sobie prosto w oczy, po chwili zaczęli się śmiać. Ale szybko przestali, bo to głośne było. Romek wstał, otrząpął się i popatrzył na ścianę. Kolorowa była, taka tęczowa. „To chyba moja robota. Może Andrzej nie zauważy.” Kolega się znalazł, ale pizzy dalej nie ma. Przeszukali każdy kąt w tym domu, lecz nic nie znaleźli. Andrzejek co prawda znalazł coś podobnego do zamówionego dania, ale ten smak wcale nie przypominał czegoś, co się nadaje do jedzenia. Nagle coś go strzeliło, żeby obczaić galerię zdjęć w telefonie. Włączył. Zobaczył. Zrobił wielkie oczy. Zawołał Romka. „O kur...”

Miłość występuje tylko w liczbie pojedynczej

Storyteller

„JESTEM ANONIMOWYM PISARZEM, A OTO MOJA HISTORIA.”

Rozdział ????

Nie mieli czasu na zajęcie się płaczącym dzieckiem i schowanie zabitego przez nich mężczyzny, gdyż dostrzegli, że w ich stronę zbliżają się z oddali dwie ciemne sylwetki. Nie czekając długo, Kirishima schyliła się po nóż, którym uratował ją jej mężczyzna i wskoczyła do samochodu na miejsce pasażera. Błyskawiczne tempo, w jakim Wiktor i Angela opuścili miejsce zbrodni, w żadnym wypadku nie rozwiązywało sytuacji. Była już notowana, więc gdy tylko Bractwo odkryłoby śmierć jednego ze swoich członków, a skorumpowana policja odciski jej palców na ciele Czwartego, spędziłaby resztę życia w więziennej celi. Podróż powrotna przebiegała w maksymalnej ciszy, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos silnika.

On – emocjonalnie poddany całkowitej destrukcji. W przeciągu paru minut ze zwykłego, nieznanego szerszej publiczności reżysera, stał się współwinnym morderstwa. Ten bezwzględny sposób, w jaki Angela zabiła człowieka, wciąż wywiercał mu sporą dziurę w głowie. Paradoksalnie jednak, Wiktor – zawsze walczący o swoje i nieznający strachu w przyziemnym życiu mężczyzna, chciałby teraz opaść w ramiona najdroższej, poczuć ciepło jej ciała i odnaleźć przy niej bezpieczeństwo. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż wkroczył na teren świata, który bardzo długo pamięta i zawsze dokonuje vendetty.

Ona – pozornie skupiona na zmieniającym się z zawrotną prędkością obrazie za oknem, w rzeczywistości na chłodno kalkulująca wszystkie za i przeciw. Wedle prawa Wiktor był czysty. Wszelkie ślady wskazujące na jego udział miała w torebce. To jedynie kamera i nóż, ale w oczach sądu byłyby jakże obciążające. Zepchnęła gdzieś w głąb serca swoje uczucia i miłość. Od dziecka była uczona, że w razie zagrożenia nie należy być sentymentalnym. Należy zrobić wszystko, by przeżyć. Plan był bardzo prosty: Anonimowo wysłać dowody, historie Bractwa i zabójstwa do najpopularniejszego dziennika w Polsce, równocześnie informując ojca, iż w razie gdyby coś jej się stało, stosowna osoba ujawni jego powiązania z tą organizacją. To zmusi, zajmującego trzecie miejsce w hierarchii, nadinspektora warszawskiej policji, by zatuszował jej udział w zabójstwie. Będzie musiała wyjechać z kraju, prawdopodobnie do tak bliskiej jej Japonii, lecz cała afera da czas na uzbieranie stosownej kwoty.

Wreszcie dojechali do trzygwiazdkowego, wynajętego przez wytwórnę, hotelu, w którym mieszkali.

Wiktor wyszedł na balkon i zapalił papierosa. W tym czasie Angela wyjęła kartkę papieru, czarne, atramentowe pióro, rozpoczynając pisanie listu, streszczającego ukochanemu swój egoistyczny plan.

Zrobiła to, ponieważ uważała, iż wygrała. Jej rozwiązanie kryzysowej sytuacji było tak dopracowane i pozbawione luk, że postanowiła zagrać z nim w otwarte karty, odwrócić niejako role, które zawsze odgrywali. Teraz to ona była reżyserem, a on zmuszonym do dostosowania się aktorem. I choć trudno to zrozumieć, to właśnie jej miłość była tym czynnikiem, który zdecydował o zaznajomieniu go z jego losem. Filozofia Wschodu jest, w tym przypadku, niezwykle zawiła i skomplikowana. Podpisując się: „Na zawsze Twoja, Angela”, zostawiła list na biurku i opuściła, spoglądającego gdzieś na drapacze chmur w Warszawie, Wiktora...



Jak ja widzę ludzi...

Łukasz Ożóg

...I CZY WŁAŚCIWIE ICH TO OBCHODZI? DLACZEGO NIE, I DLACZEGO TO DOBRZE.

Uaaaaah, zimno. Piszę to na wypadek, gdyby znajomi nie napisali Wam tego jeszcze na fejsie. Nawet nie idzie słuchawek na ulicy wyciągnąć, bo nie, bo nie chcę, bo rączki marzną, bo słuchawki zimne. No i niestety przez to czasem trzeba słuchać, co mają ważnego do powiedzenia inni ludzie na planecie. Straszne. Wsiadam do tramwaju, rozpinam guziki od kurtkopłaszczka czy w czym ja się tam bujam po mieście. Pierwsze co słyszę, to z drzwi obok krzyk na jakąś babkę „A może by ludzie najpierw wysiedli kobieto, co?!?!” Dobra, racja, powinni wysiąść, ale można się kulturalnie odezwać, a nie od razu z pyskiem. Mam w zwyczaju - ktoś zwraca uwagę grzecznie, proszę bardzo. Ktoś mniej grzecznie? Również proszę bardzo, ale równie niegrzecznie jak on. Albo gorzej. Facet, który zwracał uwagę, świetny jak dla mnie bohater, tylko że powinien wysiąść w tym momencie, najlepiej z życia w społeczeństwie, skoro się nie umie zachować albo lubi krzyczeć na innych. Bo inni nie lubią, ot taka ciekawostka. OK, zostawmy to, „kobita” wsiadła, jest w strefie powyżej -50°C. Przejdźmy dalej, żebym nie napisał artykułu o drzwiach w tramwaju. Telefonია komórkowa, gdy tylko widzę, jak się ludzie wydzierają do tych mikrofonów to aż uszy bolą. Stoję przyklejony do kkm’a, chcę sobie pooglądać jak śnieg zaskakuje drogowców, ale nie da się. „Danuta!! A telewizor wyłączyłaś? Nie, żelazko, co ja mówię... Tak, tak, pomidorowa. Nie, z makaronem. [...] A, bo ta Koźlakowa spod dwójki se kupiła, tak. A nie wiem, Mercedes jakiś czy „bełemuwu”. Taa, mówię Ci, nakradli. Czeka, ktoś mnie tu jakieś emesesy wysyła. No, oddzwonie, buziaczki, papatki, trzymaj się skarberku, [...], papa, żebyś piniendzy nie traciła”... Jak myślicie, że to był koniec tej babki w mojej historii, to tracicie właśnie nadzieję i zaraz zobaczycie, co to jest prawdziwa rozmowa. „Haliiiinka??! A tak... no przecież, widzisz, zapomniałam. A, tak, tak, no nie odbieram, bo z Danką rozmawiałam... Nie, nie przeszkadzasz... Co u niej, a wiesz [...] No co ty mówisz? No jakie te dzieci teraz są. No różowy? No niemożliwe, za moich czasów [...]” I jak myślicie, o co chodziło? O auto? Nie. O kolor telefonu? Nie, zbyta banalne. O majtki, moi drodzy, o majtki. No cóż, widocznie córka ma grzech, bo kupiła takie w sklepie z bielizną erotyczną. I nie, nie chcę teraz napisać, że Polska jest zaściankiem czy coś... Ale kto się takimi rzeczami mami chwali? Babka miała z 60 lat (tak, wiem, feministki już robią przeciwko mnie pochód, kobiet się o wiek nie pyta itd.). Córka ~30 zapewne. No trudno.

Siatka połączeń jak wiemy zmieniona, trzeba się przesiąść. Biegnę, a właściwie uprawiam sprint na autobus (te genialne wymysły z tą nową siatką). Odniosłem sukces, zdążyłem (to dla paru osób, które mówią, że tylko narzeekam i narzeekam i w ogóle to głupi jestem). Wsiadam z przodu, jakoś tak przesądnie, z nadzieją, że jak wcześniej wsiadłem z tyłu i musiałem ludzi słuchać, to Ci z przodu nie otwierają buzi do czegoś innego niż oddychania. Ale i tak nic z tego. Jeden wniosek, ludzie na południu i na północy, na przodzie i na tyle, wszędzie są tacy sami. Dobra, wsiadłem. Pierwszy rzut oka na ludzi i od razu w myślach: „Oho, wpakowałem się, jakaś banda gimbusów”. Kocham stereotypy. Nie myliłem się. Zaraz potem, również w myślach: „Haha, bardzo śmieszne, świetny, wyborby żart, Ty to jesteś. Gimbusie”. Nie pamiętam już, koleś puścił jakimś żalosnym tekstem, zapisywać tego przecież nie będę. Dobra, zwolniło się w tej puszczy sardynek miejsce trochę bardziej w głębi, idę. Bez rewelacji, bo wracam do fanów telefonów komórkowych. „No, bo ty byś chciała, żebym był w domu cały czas, to weź przywyknij, tak nie będzie!” Facet się kłóci z babką przez telefon.

Myślę sobie: „Przynajmniej nie pantofel”. Obok mnie dwóch ze szkoły średniej, czyli z założenia wyżej w hierarchii niż Gimbusy. Na przeciwko jakaś młoda babka... Wszyscy mają z faceta ubaw. Ja też, a dodatkowo myślę: „Dlaczego do cholery on z tą dziewczyną/narzeczoną/żoną/kochanką rozmawia o tym w miejscu publicznym? Nie mogą w domu? A, no tak, gościu nie zamierza tam być cały czas, słyszałem. Chociaż na kłótnię by wpadł, zapracowany taki”. I ta kłótnia trwa dalej, zahacza o dzieci, samochody, sądy, rozwody, że się mamusi poskarży jedno albo drugie dziecko etc. I nagle pierwszy raz przestałem żałować, że nie założyłem słuchawek. Jeden z wcześniej wspomnianych średniaków do drugiego: „No, ktoś tu dzisiaj nie por*cha.” Dobra, wiem, poziom żalosny, ale sytuacja taka, że się śmiałem. Babka z naprzeciwka też i jak tak teraz myślę, to jej śmiech bardziej poprawia mi humor niż ten żart. Ale trudno, nie każdy umie się śmiać jak człowiek, inni naśladują zwierzęta. Ej, ej, ej. W tym momencie skapowałem, jaki byłem tępy w tej całej sytuacji. Słuchawki odmarzły, uszy też, nawet czapkę i rękawiczki dawno zdjąłem. Grzebię w torbie, jest. Ukojenie moich problemów, to tak, jak silny przeciwbólowy wtedy, jak boli. Zakładam na uszy oczywiście. Już, puszcza moje umca, umca i tłusty rap na przemian. Ale chyba miałem słabe słuchawki, bo nagle słyszę, jak się ktoś na kogoś wydiera. Trudno, vol+, aż do znudzenia. Jest ok. Ale dalej widzę, zapomniałem. Tzn. nie, żebym się żalił, że mnie Bóg obdarował wzrokiem, skąd. Po prostu żałuję, że muszę wszystkich tych ludzi oglądać, jak się na siebie drą, jak jedzą w autobusie, jak się bujają w turboszelestach tak, że aż wiem, o czym mogą rozmawiać (no cóż, w tym przypadku do wyboru - du*eczki/alko/wixa/dragi/moje bełemuwu). Dla pseudopatriotów, bo prawdziwi będą wiedzieli i nie trzeba im tłumaczyć jak kolejnym idiotom - nie, nie twierdzą, że tylko w Polsce tak jest, a trawa w Nowej Zelandii jest bardziej zielona. Piszę, co widzę. A po tym, jak wysiadłem, dalej widzę. Głównie przemierzających gimbusów „na szlugu”. No, dobra, moje stare osiedle, podstawówka w tej konfiguracji też się zdarza.

I po takiej fascynującej przygodzie, jak powrót do domu ze szkoły czy z pracy, o czym myślę? O niczym. Patrzę na ludzi i czasem oczom/uszom nie wierzę. Albo nie chcę wierzyć. I mam nadzieję, że ich to specjalnie nie obchodzi. Sam już nie wiem. Smutne by to było dla mnie, jakbym teraz stwierdził, że wszyscy ludzie naokoło to idioci, Gimbusy i w ogóle, że są beznadziejni, a tylko ja wspinały. To znaczy nawet nie smutne, ale nie chcę czuć się samotny, więc tak nie powiem. I na pocieszenie dodam, że też czasem robię bydlę z kolegami w autobusie. Nie wiem, czy skretyniałem, czy dla zasady. Za niedługo pewnie zastanowię się, jak ludzie postrzegają mnie, więc nie łudźcie się. To nie koniec moich nudów.



Rozmyślanie nad życiem

bogi

CZYLI RZECZY, O KTÓRYCH SIĘ NAWET FIZJOLOGOM NIE ŚNIŁO

W życiu każdego człowieka przychodzi kiedyś taka chwila, kiedy chce porozmyśleć nad ważnymi sprawami. Zwykle prowadzi to do krótkich rozważań o tym, co będzie w domu na obiad albo co było na jutro na zadanie. Czasami jednak prowadzi to może do głębszych przemyśleń nad sensem swojego życia. Po co jesteśmy stworzeni? Jak to możliwe, że żyjemy? Zastanówcie się: po co zostaliśmy stworzeni przez Boga? Skoro jest On miłosierny i chciałby, aby wszyscy byli dobrzy, to czemu każe nam czekać na życie wieczne na Ziemi? Czemu dopuszcza do nas zło? Czemu na świecie tylu ludzi żyje w biedzie i nędzy, gdy inni opływają w bogactwie? Są to rzeczy, które nie zależą od nas samych. Każdy chciałby urodzić się jako bogaty i żyjący w dostatku człowiek, lecz nikt nie może samemu o tym zadecydować. Czasami, gdy leżę i próbuję zasnąć, myślę sobie, że mam bardzo dużo szczęścia, ponieważ żyję w państwie niepokrzęconym wojną, mam wspaniałych rodziców oraz jestem w pełni zdrowy. Zastanawiam się wtedy, dlaczego ja mam tyle szczęścia, a inni nie. Czemu ludzie w krajach trzeciego świata mają takie trudne życie? Zmieniając temat – nie zastanawialiście się nigdy, jak to możliwe, że się poruszacie? Jak to możliwe, że Wasze serce samo z siebie pompuje Waszą krew? Człowiek musiał głowić się kilka tysięcy lat, aby wynaleźć coś, co w końcu zadziałało i to maksymalnie przez kilka/kilkanaście lat. Nasz organizm działa poprawnie i rozwija się od samych narodzin. Wszystkie nasze narządy pracują w doskonałej harmonii bez naszej bezpośredniej kontroli. Czy nie jest to fascynujące? Jak to możliwe, że człowiek nie docenia tego, co ma – życia. Każdy dostrzega w swoim życiu wyłącznie wady. Ile to on nie ma problemów albo jak to on ma wiele na głowie. Myślę, że gdyby każdy lub chociaż większość ludzi zaczęła zauważać pozytywne zamiast negatywów, świat byłby lepszy. Inną sprawą jest to, że ludzie, wiedząc, jakimi szczęściami są, będąc całkowicie zdrowymi, niszczą się używkami. Oczywiście wszystko jest dla ludzi. Nawet nie będę próbował zaprzeczać, myślę jednak, że powinny one być używane sporadycznie i z umiarem. Sądzę, że każdy powinien zastanowić się dwa razy, zanim następnym razem sięgnie po papierosa albo po skręta. Docerście to, co macie, bo zawsze mogliście mieć gorzej. Pamiętajcie – życie jest jedno, nie warto go marnować.

Z Kronik Dysku

Xenon

SEMESTROPAUZA, FERIE, A W TYM NUMERZE W ZAMIAN REFLEKSJA. RECKI NIE BĘDZIE – W SUMIE NIKT ICH PRZECIEŻ NIE CZYTA.

Chyba każdy geek zauważył, że również muzykom niejednokrotnie udzielił się świąteczny, Majowy wręcz nastrój końca poprzedniego roku – w końcu to też ludzie (choć tutaj polemizowałbym). I tak wytłumaczyłem sobie fakt, że niektóre zeszłoroczne premiery są zrobione bardziej na kanwie: „przecież i tak to kupią” aniżeli: „jeśli zginiemy, to zostawmy choć po sobie jakiś epicki ślad”. Dlatego kolejny raz zapuszczam z wieży album starszy ode mnie o jakieś 10 lat i uciekam przed przeciągniętym deadline.

Japanese Whispers. The Cure. Idealnie. Gdy się urodziłem, płyta ta chodziłaby dopiero do I klasy gimnazjum. Fantastycznie.

Przypomniał mi się ostatnio pewien dość odległy moment w moim życiu, gdy stwierdziłem, iż światu skończyły się pomysły. Skupię się na muzyce, ponieważ w sprawach choćby technicznych nowinek moja wiedza jest już wręcz absolutnie minimalna. Owo me znudzenie objawiało się na przykład tak:

W autobusie kolejny raz, w tym samym miejscu, ten sam niepiękny i nieprzystojny chłopiec psuje swe uszy słuchawkami. Jego tępy i nieobecny niczym spuszczone z toalety woda wzrok trepanuje bibliotekę MP3ki. „Sacrebleu! To było, to też brzmi jak tamto, nie, to też nie...” – krążył w myślach, lecz nie chciał się uwolnić. Katował swe uszy nieustanną iteracją schematów. Barszcz czerwony.

Też tak czasem macie? Choćby kawałek był w zupełnie innej tonacji, choćby klimat w utworze był diametralnie inny, to i tak wszystko już właśnie słyszałem. Oglądałem raz materiał o tym, czy ludziom kiedykolwiek skończą się nowe melodie (<http://youtu.be/DACjV60RnRw>) – mówi za siebie. Ale melodie to nie wszystko. Grochówka.

Na przykład w dyskografii zespołu, który nazywa się rower-metalowym musi być zwrot „masterplan”. Nie wnikam w poszczególne teksty, ale przecież synonimy mogę znaleźć w podręczniku do matematyki! Rowermetalowe bandy opatentowały już wręcz pewną progresję, którą za wszelką cenę odświeżają – z marnym skutkiem – zamiast szukać nowych inspiracji, rozwijają się. Ucinam hejty – jestem wielkim entuzjastą power metalu.

Piosenki pisze się schematycznie – artystów jazzowych i schizofreników pokroju Dream Theater raczej wyłączamy z równania – i gdy taki niemogący wyjąć zawoszonych słuchawek z brudnych małżowin człowiek się osłucha zbyt – Kiszka! Tutaj zaznaczam, że mowa o grupach z tego tysiąclecia.

Moja metoda na dopadający mnie czasem syndrom „iterum maximum”, jeśli chodzi o muzykę jako taką, polega na szukaniu wykonawców maksymalnie mi nieznanych, i to w co bardziej odległych mej normie gatunkach (tutaj dzięki Sene, która podrzuciła mi mnóstwo takich innych bezguściu rzeczy i Kastelowi za tę reckę z przedostatniego numeru) przeglądając najciemniejsze internety... bądź wakacje – odkryłem, że mogę wyciągnąć słuchawki z uszu, goniąc autobusem/tramwajem/per pedes. To, co wtedy słyszę, jest niestety równoważnie niewybornie schematyczne (ale słuchawki nie dostaną liftingu tak szybko).

Mój wniosek z tego nieskładnego wywodu jest jeden.

Światu nie skończyły się pomysły, po prostu nie przejrzałem dokładnie YouTube’a. Miłych ferii!

<http://pl.memgenerator.pl>



Serialowy przegląd kastel

DOBRE TO.

http://1.bp.blogspot.com



Californication

Ten serial jest genialny, jaram się nim od czasów gimnazjalnych, od pierwszego odcinka pierwszego sezonu, staram się być na bieżąco z losami jednej z najbardziej charyzmatycznych postaci amerykańskiego kina – Hanka Moody’ego – granego przez aktora, którego nie trzeba przedstawiać – Davida Duchownego. Fabuła serialu opisuje perypetie pisarza, któremu wena sprzyja jak każdemu innemu artyście, czyli różnie. Hank szuka tej weny zazwyczaj w bardzo intymnych kobiecych strefach różnych pań. Niestety wena jest w tej strefie, która mu już ucieka. Karen to jedyna i prawdziwa miłość pisarza, razem nawet mają owoc tej miłości w postaci dorastającej córki - Becky. Jak to bywa w mniejszości życiowych przypadków, Karen to dojrzała emocjonalnie oraz intelektualnie osoba, a nie to, co ten dzieciak Hank i zamiast ciągłego cierpienia i płaczu wybiera nudne i stabilne życie u boku Bena, którego nie znosimy z racji tego, że kochamy Hanka. W próbach odzyskania dawnej miłości sprzyja mu najzabawniejsza postać amerykańskiego kina – tyśol Charlie Runkle. Showtime wydał dopiero 5 sezonów (zawsze w każdym 12 odcinków po 25 minut), a szósty jest w produkcji z premierą na 13.01.2013. Oczywiście nie jest to romansidło, w którym po 50 odcinkach Hank odzyskuje Karen. Każdy sezon ma inną linię fabuły. W pierwszym sezonie Hank walczy o Karen, w drugim (moim zdaniem najlepszym, chociaż po czwartym sezonie, serial charakteryzuje bardzo wysoki poziom) pisze biografię gwiazdy rock, w trzecim zostaje nauczycielem na uczelni itd., itd. Serial charakteryzuje, oprócz wyrazistych bohaterów, bardzo dobra ścieżka dźwiękowa. Dominuje tam głównie typowy kalifornijski rock. Serial, chociaż z gatunku należy do komediowych, jeżeli spojrzymy odrobinę dalej, jak na otoczkę komediową, widzimy tak naprawdę tragizm jednostki, która nieubłagane dąży do destrukcji siebie oraz najbliższych. *Californication* bardzo często mnie rozbawia, porusza i (coś, co nie zdarza się często) lubię do niego wracać. Polecam go do obejrzenia. Z pewnością się nie zawiedziecie i nie odczujecie zmarnowanego czasu, a ja z tego miejsca bardzo chciałbym podziękować Tomowi Kapinosowi za ten serial oraz kole-dze, który wtedy mi go polecił.

PS. Serial zdecydowanie zasłużył na Złoty Glob.

Gramy!

Hubcio

CO ZDARZYŁO SIĘ W 1986 R.?



http://bi.gazeta.pl

Promieniowanie, mutanty, bandyci, artefakty, emisje, zniszczenie, demoralizacja... Wszystko to znajdziemy w rewelacyjnej produkcji S.T.A.L.K.E.R. Cień Czarnobyla/Czyste Niebo/Zew Prypeci. Trafiamy do Zony, która po 1986 r. jest skażoną strefą. Mamy nadzieję na zarobek, ponieważ jest to jedyne miejsce na świecie, w którym można znaleźć tak zwane artefakty, czyli przedmioty o nienaturalnych cechach. Bierzemy więc garść rubli, pistolet i ruszamy w podróż. A co nas czeka na nowej ścieżce? Będziemy chodzić z licznikiem Geiger’a omijając strefy promieniowania, szukać artefaktów, omijać anomalie (np. nagłe wyładowania energetyczne), walczyć z fauną, a prędzej czy później będziemy musieli opowiedzieć się po stronie jednej z dwóch głównych frakcji. Obóz Powinność to ludzie z zasadami, którzy chcą odseparować Zonę od reszty świata dla bezpieczeństwa ogółu. Druga strona barykady to Wolność, która uważa, że strefa i jej skarby to źródło wielkich pieniędzy i społeczeństwo powinno poznać jej dobrą. Oczywiście po drodze napotkamy inne ugrupowania, takie jak bandyci, wojsko, paranormalny monolit czy (w dalszych częściach) Czyste Niebo. Wraz z naszym postępem będziemy zdobywać coraz więcej szacunku i pieniędzy, a co za tym idzie, dostęp do wielu broni i pancerzy (np. mechanicznie wspomagany egzoskielet). W grze najważniejszy jest klimat. Późna noc, deszcz obficie pada z nieba, a my z latarką przy głowie przeszukujemy stare, pokryte rdzą i kurzem magazyny przy okolicznej fabryce. Gdzieś coś zaskrzypi, ktoś krzyknie, a w tle słychać odgłosy walki mutantów. Wyciągamy śrubkę z kombinezonu, rzucamy ją przed siebie. Brak reakcji, droga jest bezpieczna. Trzy kroki w przód i przed nami pojawia się niewyraźny cień jakiegoś stworzenia. Do naszych uszu dochodzi chropowate sapanie. Pięć sekund później jesteśmy martwi. Wszystkie te czynniki sprawiają, że w grze po prostu jesteśmy. Pierwsza jej część posiada siedem różnych zakończeń. To, jakie zobaczymy, zależy tylko od naszego stylu gry. Inne dla wielkiego bohatera, inne dla zwykłego chama pazernego na pieniądze i władzę. Dodatkowo, po internecie krąży wiele profesjonalnych modyfikacji, które nieraz całkowicie zmieniają rozgrywkę. Więc jesteś gotowy założyć maskę ochronną i ruszyć w samo serce Czarnobyla?

Recka muzyczna kastel

FAJNIE, ŻE TEN PROJEKT ZNÓW WRACA NA SCENĘ.

Sistars po kilku latach nieobecności na polskiej scenie, powracają na nią z nową energią do tworzenia muzyki soul oraz R&B.

Podczas gdy ich nie było na rynku muzycznym, dziewczyny wydawały solowe płytki oraz zajmowały się wychowywaniem swoich dzieci i poświęcały czas rodzinie. Ja w tym tekście napiszę recenzję ich drugiego albumu z 2004 roku pod tytułem „EP”. To mikrowydanie to tylko cztery utwory, ale zaczyna się od (można go tak określić) super rozpoznawalnego hitu i utworu tego składu „Sutra” (z jap. - księga), do którego nakręcono teledysk w więziennym klimacie, gdzie Natalia Przybysz z jej ściętą na jeża fryzurą śpiewa: „jeżeli jutra nie ma, ja nie przestaję śpiewać”. Nie znam nikogo, kto koło tej piosenki przeszedł obojętnie albo - co gorsza - w ogóle jej nie kojarzył. Kolejny utwór o wdzięcznej nazwie „Freedom” przypomina swoim wykonaniem soulową wersję Missy Elliot. Trzeci numer na EP to remiks utworu z pierwszej płyty „Siła Sióstr” pod tytułem „Synu” w wykonaniu Si-squadu, zdecydowanie przyśpieszyli tempo utworu, nadając mu w ten sposób nowy format, jednak wciąż z tym samym wyrazistym i oryginalnym głosem sióstr Przybysz. Ostatni track „I hear the music” to delikatny chillwave w połączeniu z muzyką lounge. Płytką może i jest krótką i zdecydowanie w luźnym spokojnym klimacie, ale nie nadaje się do słuchania w tle z tej prostej przyczyny, iż wykonawczynie wkręcają się w głowę i wypełniają w niej przestrzeń, nie pozwalając skupić się na niczym innym, jak na słuchaniu hipnotyzującego głosu. To tyle w tej recenzji; na koniec muszę dodać, że trzymam kciuki za powodzenie reaktywowanego składu Sistars, bo z pewnością jest to odskocznia od mainstreamu i możliwość posłuchania innej, alternatywnej muzyki.



MPK Game

Hubcio

NIE WYTRZYMAŁEM. TAKIE ŻYCIE. PONOWNIE MUSZĘ WYLAĆ FRUSTRACJĘ. ZAGRAJMY W MOJĄ GRĘ.



http://m.wm.pl

Zasady gry: **jedziemy autobusem/tramwajem.** Za wykonanie podanej niżej czynności otrzymujemy odpowiednią ilość punktów. Kto dojedzie na miejsce przeznaczenia z większą ilością punktów – wygrywa.

Punktacja:

- jeżeli ktoś się na Ciebie pcha w celu przejścia/wyjścia/cokolwiek i nie mówi „przepraszam”, to stój jak głaz i się nie ruszaj (5 pkt.),
 - a jeżeli zacnie pyskować, żeś niekulturalny, to zwróć delikatnie uwagę (10 pkt.),
 - tekst: „Nie nauczyli Pani/Pana słowa przepraszam?” jest za 20 pkt.
 - jak ktoś stoi w zatłoczonym autobusie i ma założony plecak, to za pchanie się na niego jest 5 pkt., a za zwrócenie uwagi 10 pkt.,
 - tekst: „Pomóc ci zdjąć plecak?” jest za 20 pkt.,
 - jeżeli ktoś patrzy Ci z pasją w ekran telefonu podczas pisania smsa, zwróć uwagę (15 pkt.),
 - a za napisanie na ekranie czegoś w stylu: „Zaraz napiszę, bo jakaś baba/dzied patrzy mi prosto w ekran” masz 25 pkt. (pod warunkiem, że upierdliwa osoba popatrzy akurat na Twój telefon i zrozumie aluzję),
 - jak chcesz przejść, a ktoś stoi Ci na drodze i po powiedzeniu „przepraszam” stoi dalej* albo ruszy się o 2 cm – śmiało ciągnij z bara (5 pkt.),
 - nie ruszaj się, jeżeli pół autobusu zapagnie wysiąść minutę przed dojechaniem na przystanek (5 pkt.),
 - jeżeli chcesz wyjść z pospolitej pułapki „podwójne siedzenie” i po stosownym komunikacie osoba siedząca po zewnętrznej stronie delikatnie przesuwa nóżki zamiast wstać i przepuścić, - śmiało daj się przyglądnąć Twojemu tyłkowi z bliska (10 pkt.),
 - albo wychodź przodem do niej (30 pkt.),
 - z szyderczym uśmiechem na twarzy (40 pkt.),
 - jeżeli siedzisz po zewnętrznej stronie pospolitej pułapki, a osoba obok, chcąc wstać i wyjść, żeby nie mówić „przepraszam”, zaczyna przez 30 sekund przed przystankiem szeleścić siatkami, poprawiać torebkę, chwytając 5-krotnie za plecak, delikatnie się ruszać, wiercić się jak owsik czy chrząkać i chrumkać, zapytaj, czy nie łatwiej wykrztusić z siebie to magiczne słowo (20 pkt.)
 - lub powiedzieć: „Ma Pan/Pani atrakcyjną mowę ciała, mrau” (50 pkt.),
 - wysiadając z autobusu, spróbuj wepchać się w tłum osób na przystanku, które jeszcze przed otwarciem drzwi chcą wsiąść do środka (20 pkt.) lub wbiegnąć w nich z okrzykiem na ustach: „Najpierw się wysiada!” (40 pkt.).
- * - nie dotyczy osoby, która ma słuchawki na uszach i najnormalniej w świecie nie słyszy

http://s.hhbd.pl

Recka filmowa

kastel

OPRÓCZ LUKE SKYWALKERA Z GWIEZDNYCH WOJEN TA POSTAĆ MNIE WYCHOWAŁA.

Nazywał się Bond. James Bond. Od 50 lat gości na srebrnym ekranie, popijając Martini, zadowolając piękne kobiety, rozbijając się szybkimi autami i okazjonalnie ratując świat, kładąc na głębię przeciwników w eleganckim garniturze z błyskotliwym tekstem na ustach. Jest geniuszem i chciałbym nim tak bardzo być. Tekst z okazji tego, że dokładnie godzinę temu obejrzałem najnowszą, 23 część przygód agenta jej królewskiej mości pt. *Skyfall*. Przyznaję – po premierze *Casino Royale*, płakałem nad tym, że Pierce Brosnan już nie wcielił się w postać agenta 007 i na widok Craiga (ciągle gdzieś biegającego) robiło mi się niedobrze, a po usłyszeniu dialogu:

- Wstrząśnięte czy zmieszane?

- Mam to w dupie. – Rzuciłem popcornem w ekran.

Ten Bond to nie Bond! To był prostak od obijania ludziom przestępczych mord w bójkach w barze. Po *Quantum of Solace*, było jeszcze gorzej. Od Craiga gorszy był tylko George Lazenby. Teraz rozumiem, że była to bardziej wina scenariusza, niż jego samego. Bo Craig sobą zmienia oblicze szpiega i nadaje mu trochę ludzki charakter. Tylko warto postawić sobie



http://kultury.pl

pytanie: czy taki Bond to wciąż Bond?

Najnowsza część jest zakończeniem tego zawirowania, jakie nastąpiło w szpiegowskiej sadze (od *Casino Royale*, było wiadome zamierzenie twórców – „powrót do początku”). W *Casino Royale* obserwowaliśmy, jak wyglądała pierwsza misja Jamesa Bonda (daleko mu było do prawdziwego szpiega, ale jak to bywa, doświadczenie należy jakoś zdobyć) dla brytyjskiego rządu, w żenującym *Quantum...* Bond mścił śmierć swojej ukochanej, strzelając, a potem zadając pytania. Ale pod koniec twórcy dali nadzieję widzom i James Bond zarecytował swoją klasyczną linijkę, rozpinającą wszystkim pannom ubrania, a facetom mrozącą krew w żyłach. Natomiast w *Skyfall* metamorfoza dobiega końca i naszym oczom ukazuje się pełny James Bond – z tytułem szlacheckim, z błyskotliwymi powiedzonkami i z Aston Martinem.

Skyfall swoją strukturą fabularną powraca do korzeni, James Bond walczy z pojedynczym szaleńcem dążącym do zniszczenia M oraz całej sekcji 00. Tyle.

Najnowsze przygody tajnego agenta są porywające, ekscytujące i cieszy mnie to, że mogę powiedzieć, iż Daniel Craig nie jest złym aktorem do tej roli. Faktycznie, trochę go zmienił, ale w stopniu, który ja – zagorzały fan – mogę dopuścić, chociaż uważam, że brak gadżetów szpiegowskich jest dużym minusem (co to za tajny agent, który używa właściwie takiego samego sprzętu jak John McClane?). Nowy Q (Ben Whishaw) tak samo nigdy mi nie zastąpi mi Desmonda Llewelyna czy Johna Cleesego - to rozumiem, że trzeba iść z duchem czasu i posadzić kogoś młodego. Młody wyglądający jak hipster Q to dobry pomysł, za który daję +.

Daję plusa także za błyskotliwe dialogi (sporo nawiązań do klasyki serii), których brakowało mi od *Śmierć nadejdzie jutro*, za klimatyczną piosenkę Adele oraz za to, że można w tej części przyjrzeć się pochodzeniu postaci Jamesa Bonda. „*Skyfall*” zdecydowanie podniosło poprzeczkę i zapewniło godną rozrywkę rozczarowanym poprzednimi obrazami fanom. No i to genialne, mocne zakończenie. Ci, którzy są fanatykami i znają całą sagę, będą wniebowzięci. Ja byłem. POLECAM Z CAŁEGO MOJEGO SERCA.



http://cdn18.se.smccloud.net